TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.................$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii..............$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 38. Chicago. Ill., Czwartek, 22-go Września, 1898. Rok XII

Bohaterka z nad Szreniawy.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW NASZYCH

— PRZEZ —

PAULINĘ KRAKOW.

(Dokończenie.)

Czy już? spytała.

Do połowy — odrzekł Biernat — ale dobre i to!

Małgorzata za przykładem siostry wydobyła się także z ciasnoty, odetchnęli wszyscy głęboko i spojrzeli dokoła. Stali wtedy w bardzo szczupłej przestrzeni, ale powietrze opływało ich obficie, a gdy podnieśli oczy do góry, spostrzegli gwiazdy letniego nieba, migające nad nimi i zdające im się uśmiechać przyjaźnie. Byli na dnie studni, nie tej co w dziedzińcu stała daszkiem osłonięta, ale jakiejś starej, suchej, zapomnianej widać od dawnego czasu; długie konary jakiegoś uschłego drzewa bujały pomiędzy nimi a widnokręgiem. Po niedługiem odetchnieniu i zebraniu myśli znowu Halszka spytała:

— A teraz co?

Biernat w milczeniu rozpatrywał ściany studni; rozumiała go Małgorzata, bo raz gwiaździstym wieczorem na prośby starca przyszła tu była z nim razem spojrzeć na ten ostatni środek ocalenia, gdyby już w danym razie wszystkie inne zawiodły. Nie myślała ona go wtedy potrzebować; sądziła, że mocą ducha i siłą woli zdobędzie poszanowanie swojej osoby i nietykalność własności; nie przewidywała gwałtownego i tak licznego napadu; teraz przypominała so-

bie środki przygotowano przez starego sługę i niepewność wstępowała do jej umysłu. Starcowi szło o utrzymanie poprzednio zachowanego porządku; chciał wyjść pierwszym, potrzebował spróbować, czy można śmiało narazić dwie młode panie, czy nie należało poprawić co lub umocnić.

— Nie — rzekła Małgorzata — Halszka pójdzie pierwsza; my ją dźwigniemy, a oprócz tego ona najlżejsza.

Uwinęła siostrę w jej długą, białą suknię w ten sposób, by jej ruchom nie przeszkadzała, dała jej w ręce dwa sznury uwiązane tak, że każde ogniwo stanowiło stopień sznurowej drabinki; umieściła wygodnie jedną jej nogę na najpierwszym stopniu, drugą na drugim i spytała:

— Czy czujesz się dość silną, by sięgać i stąpać coraz wyżej?

— Spróbuję! — Halszka uczepiła się mocno sznura, a gdy ten się wyprężył, zawisła w powietrzu.

— Trzymasz się mocno?

— Trzymam i pójdę. — A mowę w czyn wprowadzając, sięgnęła do wyższego węzła.

— Idźcież śmiało! — rzekł Biernat — macie dziesięć stopni, a potem równą ziemię.

Drżącemi usty, lecz wyraźnym głosem liczyła Małgorzata kroki swej siostry, za najmniejszym szmerem biło jej serce obawą, czy sznur dość mocny, by ją uniósł do wierzchu otworu; nakoniec przycisnęła je obiema rękoma i potok łez zalał jej oczy. Bogu dzięki! — westchnęła głęboko.

Halszka podług umowy zachowała się cicho, lecz dała lekki znak skoro jej stopa ziemi dotknęła. Małgorzata nalegała, by Biernat wyszedł przed nią, lecz musiała ustąpić prośbom starca, który do kolan się uchylając błagał, by wyszła zaraz.

— Może się co wydarzyć, to we dwie dałybyście mi pomoc — mówił — a ja tu nie zginę, choćby przyszło wrócić do lamusa.

Poszła więc Srzemieńczykowa, a gdy obok siostry stanęła, nalegała na Biernata, by pospieszał.

— Idę już — odrzekł — ale na prawo pod kamieniem, piaskiem przysypany leży sznur, przywiązany jak drabinka do olszy, spuśćcie mi wolny koniec.

Wykonano jego wolę; pomagał sobie drabinką, lecz trzymał się głównie nowego i prostego sznura, bo wyciągnięta przez dwie poprzednie podróże, nie byłaby cięższej postaci starca udźwignęła. Nakoniec wszyscy troje znaleźli się w znajomym zdaleka zakącie, gdzie dokoła suchej a olbrzymiej olszy, która tu jak pani rozpościerała swoje gałęzie, był prawdziwy las ziół i krzaków, między któremi porzucane kamienie i popróchniałe belki wyglądały tu i ówdzie. Nazywano to zapustem, ale nikt tu nigdy nie zaglądał; tylko Biernat z młodości swojej pamiętał o suchej studni, gdzie chłopcem jeszcze wpadłszy odkrył tajemne przejście. Powiedział później o tem staremu panu lecz ten rzekł tylko:

— Niech to sobie tak będzie. — Nie gadać o tem!

Ale później, gdy Biernat zaufanie pana Mikołaja pozyskał, chodzili tam czasem obadwa, uprzątali i umacniali ściany i sklepienie przejścia, rozlicznym ziołom pozwalając zarastać boczny otwór studni, by go przed ciekawem zasłonić okiem, któreby przypadkiem dostrzedz go mogło.

— Bóg że wam zapłać! — rzekły cicho siostry — ściskając starego sługę.

— Powiedźcie — dołożyła Małgorzata — co poczniecie z sobą, bo my już same nie trafimy, gdzie trzeba.

— Uchowaj Boże! nie znacie wszystkich chróstów i zarośli, a trzeba iść niemi, żeby kto zdala nie zobaczył; idę z wami.

Poszli zatem zaroślem po za dworcem, kierując się ku kościołowi, ogrodzenie cmentarza było tylko przymknięte, weszli więc bez przeszkody i przesunąwszy się wzdłuż murów świątyni, zwrócili się po za nią i znaleźli znajome sobie wejście do wieży, która teraz wraz z kościołem jaśniała rubinowem światłem. Drzwi żelazem okute były przytwarte, wszedłszy za nie Małgorzata odetchnęła całą piersią, mówiąc:

— U Boga ucieczka...

— Najpewniejsza! — dodała Halszka.

— Teraz się rozejdziemy — rzekł Biernat — stare stopnie do połowy powyjmuję, żeby komu na myśl nie przyszło zajrzeć tu; drzwi nie zamknę zupełnie, bo toby mogło zwrócić czyją uwagę, a i sam się ukryję w

nieznany nikoma kątek.

— Gdzie i kiedy was zobaczymy? — spytała uspokojona już młoda dziewica.

— Jutro wieczorem przyniosę wam tu posiłek.

— Do widzenia więc! — rzekły, wchodząc na schodki.

Któż powątpiewa, że dwie kobiety ujrzawszy się same w bezpiecznej uchronie, w której nie mogły ich już dosięgnąć zuchwałe ramiona, w uczuciu wdzięczności wzniosły serdeczną modlitwę do Tego, który je od blizkiego niebezpieczeństwa zachował? Jeszcze z za okiennego węgła widziały ogień podłożony pod bramę ich domu, poszukiwania jakie po nim czyniono, a potem po długich, gorących modłach, ciało ich uległo całodziennomu znużeniu i sen cichy, twardy, ujął je w swoje objęcia.

Zdziwił się nie pomału proboszcz Zembociński, kiedy w sam dzień świętego Jana, wracając do domu na ranne nabożeństwo z Goszcza, od przyjaciela którego w niedzielę pojechał był w chorobie odwiedzić, ujrzał w lesie ogromne zgliszcza i ślady zniszczenia, jakie po sobie zostawiła sobótka; zdziwił się więcej jeszcze i strapił zarazem, kiedy mu domownicy opowiedzieli wypadki dni poprzedzających, bo lubo cudowności nie przepuszczał, a nie wierzył w czary, o których głośno mówiono, niepokoiło go tajemnicze zniknięcie pięciu osób, bo się obawiał, czy nie wpadły, w ręce motłochu, który umyślnie może zachowywał o tem milczenie.

Poczynając od pierwszego obowiązku kapłana, odprawił Mszę Ś., a potem z brewiarzem w ręku udał się na modlitwę do lipowego chłodnika, co tuż do plebanii przytykał. Tam gdy wsparłszy głowę na ręce zamyślił się, jakimby sposobem dojść prawdy, przed zdziwionemi jego oczyma ukazał się Biernat, który mu wszystkie szczegóły dni poprzednich opowiedział, o pomoc i dalszą radę prosząc,

— Dziateczki! — rzekł mąż pobożny — a na co tu. rady, kiedy już Bóg tak dobrze poradził?

— Ale cóż dalej będzie, ojcze? — pytał Biernat.

Co Bóg da! A najprzód nie ma nic złego; dobremu bowiem wszystko na dobre wychodzi. Pamiętasz, bracie, jak to młoda pani chodząc na wieżę, by na piękną naszę okolicę poglądać, kazała tam ponaprawiać belki i pozabijać spary deskami?

Jakże nie mam pamiętać? Sam przecie byłem przy tem i wyciosało się wcale gładki kącik, żeby białogłowy wolne od przewiewu miały gdzie odpocząć, jakby im się stać na schodach sprzykrzyło.

— No widzisz, to mają gdzie usiąść, a i odpocząć, trzeba tylko pamiętać o ich pożywieniu. Ja z domu wychodzić często nie mogę, boby ludzie byli ciekawi gdzie to; ty zaś bracie osiądź w plebańskiej piekarni, w lecie tam nikt nie chodzi, chleba nie pieką, tylko podpłomyki na kominie; żywności dostarczę, posilisz się sam i na wieżę podasz.

Stosownie do tego, zaraz skoro się ściemniło Biernat wsunął się do wieży, wypytując, czy oprócz żywności czego nie potrzeba i opowiadając co widział.

— My tu lepiej widzimy — rzekła Małgorzata — we włości jakby spali, garstka ludzi plącze się tu i owdzie jak zwarzona i to sami starzy; na dwór patrzą zdaleka, ale za bramę żaden nie przestąpił. Zbliżali się do probostwa, ale i tu nie weszli; albo się wstydzą, albo boją napomnień księdza.

— Może być; ale oto przyniosłem tu koszyk z żywnością i dzbanek z napojem, tylko nie wiem jak podać.

— Spuścimy sznur jeden od Gedeona, uwiążcie u niego, a my pociągniemy

W taki sposób zeszedł dzień, dalej drugi, piąty i dziesiąty, a płynęły powoli i ciężko młodym, dobrowolnie uwięzionym, nawykłym do ruchu i pracy; za pośrednictwem starego sługi naradzały się z proboszczem, czy nie możnaby zejść z wieży i objąć śmiało domu swego w posiadanie? Ale starzec nie radził, ludność bowiem cała ochłonąwszy z pierwszego zdziwienia i przestrachu, zapragnęła z dzieła swojego korzystać. Powoli wyprowadzono konie i trzodę z zagrody, w której je odstraszone burzą obce przybłędy pozostawiły, wynoszono domowe sprzęty, zapasy żywności, oglądano nawet lamus i zebrała się kupa ludzi nad rzeczką, gdzie dostrzeżono między spróchniałę wierzbą a wielkim kamieniem owo wyjście, od którego

cofnęli się byli kmieciowie, a którędy szczęśliwie przedostał się Matys z Świerczyną. Tajemniczość nakazująca zawsze uszanowanie ciemnym ludziom znikła, domyślali się, że oblężeni odpłynęli Szreniawą i coraz śmielèj w miejscu ich gospodarować poczęto. Przekładał zatem proboszcz, by poczekać przynajmniej na wiadomość z Grądów i Brzezia i pokazało się, że radził skutecznie.

Często bardzo dwie siostry zdala od okna stojąc, by nie ściągnąć ciekawego spojrzenia, spoglądały na daleką okolicę, ażaliż nie ujrzą kogo, coby się do ich oswobodzenia mógł przyczynić, ale co im nieraz zdala wydawało się znajomem i pożądanem, za zbliżeniem zmieniało się obce i obojętne; już to szło dwoje lub troje ludzi, między którymi zdawało im się dostrzegać Matysa lub Świerczynę, już to widziały pojedynczych rycerzy, już nakoniec nieliczne poczty jezdnych snuły się drogą, nadzieja wstępowała w ich serca, lecz nie na długo, bo wszyscy mijali Zembocin, każdy szedł swoją drogą i spieszył, nie zatrzymując się, znać miał swój cel wytknięty. Nieraz młode kobiety miały ochotę dać znak jaki z okna, by sobie kogo na pomoc przywołać, lecz ile razy wspomniały o tem, ani Biernat, ani proboszcz nie radził, a cierpliwość zalecał.

Pomimo śmiałe i częste swoje wybryki, nie mogła starsza ludność Zambocińska zapomnieć nauk i pracy świętego męża, co ich przed kilkunastu laty nauczał tak gorliwie i czule. Wiedzieli, że jest teraz krakowskim biskupem, że wielkiego poszanowania od wszystkich doznaje, wiedzieli też i pamiętali, że od młodości znajomym był i przyjaznym panu z Zembocina. Kiedy się w burzeniu swojem nieco ustatkowali, wrócił im do myśli kościół i zacny przy nim mieszkający proboszcz i poczęli po troszę garnąć się do niego. Pobożny kapłan przemówił do nich mądremi, łagodnemi słowy i tyle sprawił, że odtąd co niedzielę więcej ludu płynęło do świątyni i modlono się uczciwie. Kiedy się wieść rozeszła, że tam, zkąd obcy napłynęli przybysze i ludzi do wszystkiego nakłaniali złego, pokazała się jakaś ciężka choroba i nie mało owych guślarzy i swawolników sprzątnęła, zaprzestano wycieczek do lasu i uciech w nim wieczornych a wiadomość, że w dalszej nieco okolicy kilku rycerzy powracało do domów, ochłodziła i uspokoiła nawet burzliwszy umysły.

W świąteczny dzień, w dzień lipcowy jasny i gorący, zebrało się ludzi nie mało na cmentarzu kościelnym; gwarzyli z cicha o gadkach i plotkach, krążących po sąsiedztwie, gdy nad wchodowemi drzwiami zabrzęczał znajomy dzwonek.

— Co on tam hałasuje, niby kłótliwa baba — rzekł jeden z młodszych parobków. — Żeby tak znów kiedy w Gedeona zadzwonić?

— Toby się dopiero poczciwy proboszcz ucieszył! — dołożył starszy.

— A i człekuby się weselej na sercu zrobiło — dokończył jeden ze starych kmieci — dawnośmy naszego Gedka nie słyszeli!

Mowę od czynu przedzielało zaledwie kilka kroków, które potrzeba było zrobić do drzwi wieżowych; wnet też młodzież, zawsze skoro do niezwykłego zajęcia, zwróciła się w tamtę stronę. Spostrzegł to kapłan, podążający cmentarzem do kościoła i kazał chłopcu dzwonić co siły w sygnaturkę, spodziewając się odciągnąć tym sposobem dochodzących do wiezy; ale im właśnie szło o to, by swemu proboszczowi sprawić przyjemność i otrzymać od niego pochwałę, spieszyli zatem co mogli i wnet kilku młodzieńców stanęło w przysionku.

— Patrzcie jeno, chłopaki! — mówił pierwszy w zadziwieniu; — nie tak to niby dawno jakeśmy tu dzwonić chodzili, a oto schody! — zawołał śmiały i silny Jurko — toć wisi sznur od dzwonu i jeszcze z węzłem u końca; ja się najpierwszy wciągnę, Sobek za mną, a trzeci niech trzyma linkę u dołu, żeby się nie bujała.

I zawiśli we dwóch w powietrzu, lecz trzeci za słabym był, by koniec sznura utrzymać, puścił go więc i patrzał tylko, jak się bujała z swoim ciężarem i jak silne ręce krzepko za gładką linę po nad głowami swemi chwytały, gdy niespodziewanie coś mu jak błyskawica mignęło w powietrzu i w tejże chwili obaj siłacze spadli na niego, jeszcze się sznura trzymając.

— Oj! reta! dźwignijcież — wołał Jerko, czując nogę złamaną w upadku, ...

Sobek, wywichnąwszy rękę w ramieniu, nie mógł mu żadnej pomocy udzielić, równie jak ich towarzysz, którego oba sobą przywalili.

Tymczasem dzwonek kołysał się rozpaczliwie, obecni na cmentarzu tłoczyli się do kościoła, by proboszczowi nie pozwolić czekać na siebie, po niedawnych jego napomnieniach; chłopaki więc mieli ledwie dwóch rówienników swoich, którzy powoli, ostrożnie, wynosili i wyprowadzali na świeże powietrze potłuczonych i stękających a niedoszłych dzwonników.

Poczucie świętego obowiązku i głęboka w Bogu ufność krzepiła siły kapłana, który stanąwszy raz u ołtarza, z powagą i pokojem zewnętrznym odprawiał Świętą Ofiarę, pomimo iż przeczuwał, że na wieży może się ważny odbywać dramat; ale w połowie nabożeństwa dziwny odgłos uderzył jego ucho.

Z daleka jeszcze, bo od wejścia na cmentarz, dochodzi tętent kopyt końskich, a potem dawno niesłyszany brzęk żelaza, chrzęst zbroi i chociaż przytłumiony dźwięk ostróg dał się słyszeć u drzwi, potem w przysionku, nakoniec w samym kościele podniósł się niezwykły ruch i szmer, a kiedy ksiądz odwrócił się od ołtarza, by wymówić: "Módlmy się bracia!" ujrzał w pośrodku nawy kilkunastu zbrojnych ludzi ze zgiętemi kolany i pochylonem czołem, a na przodzie klęczał ogłoszony za zabitego sam Mikołaj Strzemieńczyk.

W oczach sługi bożego zajaśniał promień radosny, głos jego zadrżał, ale twarz pozostała spokojną; nie przyspieszył ani jednego ruchu, nie zwrócił za siebie spojrzenia, tylko ręce wyżej podnosił w modlitwie, tylko gorącą i rzewną wdzięczność znać było w jego wyrazach, gdy wołał:

— Pan z wami!

Mamże dalej jeszcze prowadzić opowiadanie następujących po sobie obrazów? Czyliż czytelnicy nie domyślą się sami, że na wieży toporek Małgorzaty przeciął sznur, po którym wciągali się zuchweli, choć na ten raz w dobrych działający zamiarach młodzieńcy. Że obie niewiasty z tryumfem ze swego wyniesione schronienia, najprzód udały się do otwartej jeszcze świątyni, by serdeczne dzięki złożyć Bogu, który ich niebezpieczeństwa i strapienia tak szczęśliwie zakończył, o tem także zbytecznie byłoby mówić. Po ciężkich przejściach nastały dni radości, spokoju i pracy, bo opróżniony dom trzeba było zaopatrywać na nowo we wszystko, czego nietylko na osiedlenie się w nim teraz, lecz i na pomieszczenie gości było potrzeba, pan Mikołaj bowiem przywiódł z sobą przyjaciół kilku i wojenną swoją drużynę, a niebawem nadjechali rodzice Małgorzaty, i Halszki.

Do Kijowa oddawna nadchodziły niepokojące wiadomości, lecz król Bolesław, nazwanym Śmiałym i Szczodrym, niezważał na nic, lekce sobie ważąc rozruchy podnoszące się w kraju, przekonany, że za powrotem urokiem swego imienia wszystko to uspokoi. Przyjmowany z początku chętnie i okazale, odpłacał swym gospodarzom wspaniałem ugoszczaniem ich nawzajem, nie bacząc, że te ciągłe uczty i hulanki miękczyły rycerskiego ducha i kaziły obyczaje jego zastępów, a nakoniec, że wojownicy, gotowi za swoim królem iść w groźny ogień bojowy, opuszczali go wśród biesiad, by spieszyć do zagrożonych rodzin i własnych bronić progów.

Na częste nalegania o powrót do kraju, nie mogąc się polubionej wybrać sam gościny, wezwał kilkunastu zaufanych sobie mężów, dozwalając im a raczej polecając, by go poprzedzili i starali się o ile można ład i spokój w Polsce przywrócić. Pomiędzy nimi był też Srzemieńczyk i Pietrasz z Brzezia; jednemi spiesząc drogami, na ich rozdziale rozjechali się każdy do swego domu, obiecując sobie zebrać się wkrótce.

Pietrasz i Jaśko zastali zonę i matkę w ciężkiem strapieniu, pod wpływem opowiadań Matysa i Świerczyny, a niespokojną brakiem późniejszych wiadomości, wybierającą się do Zembocina; zabrali się w domu zatrzymać, pragnąc jak najrychlej ujrzeć swoje młode panie, lub przynajmniej dowiedzieć się o ich losie.

W przejeździe wstąpili do Grądów, dla wypoczynku koniom; stary Benko powstał właśnie z ciężkiej swojej niemocy i w dobrze wymoszczonem wozie puścił się za nimi do kochanych prawnuczek swoich, zamawiając

sobie tylko towarzystwo Jaśka, który już na dzielnego i pięknego wyrósłszy rycerza, miał czem bawić w drodze sędziwego starca, opowiadając mu wypadki upłynionego siedmiolecia.

Pan Mikołaj mający w dalszem zakresie działać z ramienia monarchy, rozpoczął od wprowadzenia ładu u siebie; a najprzód wiernego Biernata, który go najpierwszy powitał, jako znającego tutejszych ludzi i wydarzenia, ustanowił swoim namiestnikiem; wszystkie prace i zajęcia gospodarskie i domowe powierzył ludziom swojej drużyny, zapowiadając, że nikogo z tych widzieć nie chce, co śmierć jego ogłaszali złośliwie, a żonę jego i jej siostrę zuchwale śmieli prześladować.

To rzuciło popłoch na ludność; drużyna Strzemieńczyka pochodziła z tutejszej włości, każdy więc wraz po powrocie pospieszył przywitać pozostałą rodzinę, a skoro naopowiadali o wojennych sprawach, o surowości króla i gwałtownym jego charakterze, rozwijającym się z laty, o groźbach, jakie rzucał na tych, co swojem wichrzeniem przyczyną byli niepokoju i odstępstwa jego rycerzy, kiedy jeszcze dodali znane wszystkim dowody poświęcenia, dawane ciągle królowi przez pana Mikołaja i wzajemne tegoż w rycerzu zaufanie, gdy nakoniec uwierzono swoim, że Strzemieńczyk przybył po to, by na nowo zaprowadzić porządek i karać zuchwałych, zaczem król tej roboty sam dokończyć przybędzie, strach zdjął burzycieli.

Widząc zupełne pominęcie siebie w robotach około wyporządzenia dworu, w obmyśleniu wygód pięknym koniom, które później dopiero z Rusi nadeszły, widząc, że przybyła znaczna gromada ludzi z Grądów i z ich sąsiedztwa do koniecznych prac w polu, poczęli rozmyślać, że może być źle z nimi, skoro pan z Zembocina załatwiwszy swoje sprawy, rozpocznie owe zlecone mu sądy.

Pewnego dnia, w czasie południowego odpoczynku, kiedy cała rodzina pana Mikołaja zasiadła pod lipą, w pobliżu studni stojącą, gdy mężczyźni gwarzyli z sobą, a kobiety czuwały nad zastawieniem posiłku na obszernym z domu wyniesionym stole, ruch jakiś niezwykły i szmer dały się słyszeć za otwartą bramą, przez którą tylko co robotnicy na obiad wrócili.

— Małgosiu! Małgosiu! siadajże pani na swojem miejscu — zawołał Strzemieńczyk, a hoża, młodością i wdziękiem jaśniejąca niewiasta, zasiadła na ławie między mężem i ojcem, jak róża w cieniu dwóch dębów. Tuż obok z mleczną do pasa sięgającą brodą wsparł się na stole poważny Benko, między Jaśkiem a Halszką, którym Grądy w dziedzictwie po sobie zostawiał, a pani Hanna obok swojego męża dokończała szczęśliwego kręgu zacnych i tyle wypróbowanych członków rodziny.

Przed progiem tymczasem ukazała się gromada kmieci, a na ich czele siwy Stańko, kudłaty Błażek i Maciej poważny, a za nimi opodal cała służba dworska i gospodarska. Postali chwilę, jakby niepewni, co czynić mają i jakie ich czeka przyjęcie, a potem widząc spokojnie grono pod lipą, jakby oczekujące na nich, wzięli na odwagą i przestąpiwszy próg po spalonym nowo położony, zbliżyli się do stołu, odkryli głowy i stawiając misę, na której ciemniał ogromny, rumiano wypieczony chleb, grubo osypany solą, Maciej przemówił:

— Miłościwe państwo! Przyjmycie od nas ten chleb i sól, a bądźcie dla nas znowu z dobrą wolą, nie bacząc, że nas także złe opętało jak i wszelki lud dokoła.

— Bardzo źle się zrobiło, starzy! — rzekł pan Mikołaj — tem gorzej, że się za was wstydzić będę musiał, bom ja tam rycerstwu a i samemu królowi mówił, że coby się złego gdziekolwiek działo, to na mojej ziemi ład i spokój będzie, bo tu poczciwi ludzie mieszkają.

— Jużci, jużci, my się sami sromamy, żeśmy sobie tak dali w starych głowach poprzewracać — mówił Pakosz, a wszyscy kiwając głowami czekali, jak ich mowa przyjętą zostanie.

Teraz, uśmiechając się, rzekła Małgorzata.

— A coby to teraz było, stary Stanku, żebyśmy tam u bramy obie z siostrą posłuchały waszej rady?

— O! jużże nam darujcie, miłościwa pani! — zawołał kmieć upokorzony — toć

i patrzeć na was nie śmiemy! — I sam, a za nim drudzy pochylili się pokornie do kolan siedzącym.

Małgorzata zwróciła się do męża:

— Proszę was — rzekła — przebaczcie im, panie, kiedy mówią, że nie wiedzieli co czynili.

Właśnie w tej chwili wszedł na dziedziniec częsty teraz gość we dworze, czcigodny proboszcz, a słysząc wyrazy pani domu, przydał:

— Darujcie im, dla miłości Bożej! ja wiem najlepiej, że szczerze swojej winy żałują.

Nastąpiło więc ogólne przebaczenie, uwarunkowane rozmaicie, podług stopnia zuchwalstwa dla jednostek i nastało pojednanie szczere na tym punkcie obydwóch części narodu: pracującej rolniczej i broniącej, rycerskiej z Zembocin na nowo stał się dziedziną prawości, cnoty i pomyślności.

Tem zapełniamy skromne ramy naszej powiastki.

Jako za powrotem do kraju Bolesława Szczodrego rozpoczęły się srogie kary za popełnione przewinienia, jak obok poniżenia niewiast, zapominających swych obowiązków, imię Małgorzaty Strzemieńczykowej zasłynęło jako wzór i przedmiot uwielbienia po całej Polsce, jak nakoniec król, bezczynnością i samowolą po za domem zepsuty, chciał i w kraju takież życie dalej prowadzić, a napominany o to przez świątobliwego biskupa Stanisława stał się jego zabójcą i w żalu a wstydzie z ojczyzny uchodzić musiał — to już do znanej polskim dzieciom historyi należy,

---

Amalunga czyli córa puszcz.

Opowiadanie z czasów wojen pomiędy Europejczykami a Indyanami w Ameryce Północnej.

Ameryka!... Na wspomnienie tej części świata przychodzą każdemu na myśl Indyanie, straszliwe walki i bogactwa, dla których ludzie z całego świata wielkiemi masami przenosili się i do dziś przenoszą do owej obiecanej ziemi, którą uważają za krainę mlekiem i miodem płynącą.

Kiedy Kolumb w roku 1492 odkrył Amerykę, znalazł tam bardzo wiele złota. Indyanie z tego kruszczu nic sobie nie robili, i dziwili się, jak "bladolicy" mogą się za taką marnością ubiegać! Dla nich sznur szklanych korali, nożyk lub kawałek sukna więcej miał wartości, aniżeli bryła złota.

Niestety! biedni dzicy nie przeczuwali, że właśnie to złoto będzie dla nich zgubą, że właśnie to złoto wyleje całe morze krwi. Awanturnicy hiszpańscy i portugalscy wyniszczyli ogniem i mieczem najpiękniejsze kraje, wymordowali ludność na wielkich obszarach ziemi i przywłaszczyli sobie nie [illegible] ich bogactwa, ale i ziemię.

A wszystko to czynili Europejczycy w imię rzekomej cywilizacyi! Było to jednakże fałszem, bo kiedy Pizarro, ów krwiożerczy tygrys, odkrył Peruwię, znalazł tam wyższą cywilizacyą, aniżeli była naówczas w Hiszpanii. Były tam prawa już pisane, były szkoły ludowe, które Hiszpania z Portugalią dopiero w kilka set lat później u siebie zaprowadziła.

Z pomiędzy ludów europejskich dwa mianowicie spekulacyjne narody dobijały się o Amerykę, Hiszpania i Anglia. Po długich, długich czasach uregulowały się stosunki tak, że Hiszpanie i Portugalczycy objęli część południową Ameryki, a Anglicy część północną, środkową zaś część kilka narodów wspólnie, jednakże przeważnie Hiszpanie

W naszem stuleciu państwa amerykańskie, które były zależne, wybiły się za wolność, i dziś Ameryka północna, południowa i średnia składa się ze samodzielnych państw,

chociaż one mają na sobie piętno i język ojczystych krajów. I tak w Ameryce północnej panuje język angielski; w średniej hiszpański, a w południowej hiszpański i portugalski.

A Indyanie? zapyta kto, przecież to były ziemie od Boga dla nich przeznaczone?

Prawda, lecz cywilizacya europejska umiała i prawda boskie ominąć. Powiedziano, że Indyanie są dzicy, zatem wcale nie ludzie. Nie potrzeba nic więcej było, jak dopłynąć do pierwszego lepszego kraju, wysiąść nad ląd, zatknąć chorągiew, i uroczyście ogłosić kraj ten a ten a za własność tego lub owego króla. To się nazywało: wziąśę uroczyście w posiadłość. Indyanie odnośnego obwodu stawali się nieraz bez ich woli i wiedzy poddanym, to angielskimi, to hiszpańskimi, to portugalskimi. Biedacy o niczem jednakże nie wiedzieli. Wprawdzie z dziecinną ciekawością przypatrywali się przybyszom, z dziecinną ciekawością na zatkniętą chorągiew, ale nie mogli wiedzieć, co znaczy, bo języka przybyszów nie zrozumieli.

W patryarchalnej prostocie uważali Europejczyków za coś wyższego, nawet tu i owdzie za bogów. Wnet się jednak przekonali, że mniemami bogowie są ludźmi najgorszych, najwyuzdańszych obyczajów. Widzieli, że ci popełniają zbrodnie, jakie dotąd pomiędzy Indyanami nie zachodziły, ani nawet z nazwiska znanemi im nie były. Chwicili więc za broń, aby mniemanych bogów wygnać. Niestety! kule karabinowe i armatnie wnet ich przekonały, że walka dla nich nierówna.

Jednakże wolni dotąd ludzie nie mogli się poddać nadjezdzcom, których szanować nie mogli Najezdzcy znowu uważając ich za wyjętych z pod praw, polowali na nich jak na dzikiego zwierza i wymordowali tak dalece, że dziś mała tylko liczba Indyan znajduje się w Ameryce.

Kiedy Stany Zjednoczone północnej Ameryki się uporządkowały, wtedy też i o Indyanach pomyślano. Aby nie było krwi rozlewu, wskazano szczepom indyańskim osobne dla nich obszary, zakazując przekraczać granice.

Ale to mało pomogło, bo Indyanie tego pojąć nie mogli, jak ich przybysze mogą skazywać na pobyt w jednem miejscu i to ich własnej ziemi. Z tego powodu przekraczali granice, a ztąd przychodziło do bardzo krwawych starć, które jeszcze więcej liczbę ich uszczupliło.

Nie trzeba jednakże sądzić, aby Europejczycy tylko z Indyanama toczyli walki, owszem walczyli zajadle sami między sobą, mianowicie Anglicy ż Hiszpanami. Jeszcze pomiędzy rokiem 1840 a 1850 pogranicza Texas i Meksyku były widownią zaciętej nienawiści rasowej. Meksyk z piętnem hiszpańskiem i katolickiem stał solą w oku protestanckim raczej anglikańskiego wyznania Anglikom. Rzeka Północna, zwana tam Rio del Norte odgraniczała te dwa narody, ale stanowiła nadto słabą tamę, tak że mordy i pożogi z tej i owej strony były na porządku dziennym. Oba narody czuły się w swem prawie, bo oba były poprostu najezdzcami i rozbójnikami, a religia była u nich chyba wspomnieniem z dawnych czasów, zwyczajem przywiązanym do ich ojczystych europejskich krajów.

Dumni Anglicy sądzili się jednakże być wyższymi. Nazwali oni Meksykańczyków "żółtobrzuchami," i tak dalece w swej rasowej nienawiści doszli, że ogłosili, iż zabicie żółtobrzucha, gdziekolwiek go się trafi, nie jest grzechem, ale owszem dobrym uczynkiem.

Tak daleko nienawiść i zaślepienie doprowadzić może!

Stały wtenczas trzy obozy przeciw sobie: Anglicy na Meksykanów na Anglików, a na tych i na tych czyhali Indyanie, mianowicie szczep Komaurzów, który te okolice przebiegał.

Było to w roku 1845. Na wielkim stepie nie daleko Rio del Norte stoczyły wojska meksykańskie i anglo-amerykańskie bitwę. Nie była to już prawie bitwa regularna, ale dla zaciętości obu stron nazwaćby można mordowaniem wzajemnem. W końcu Meksykanie zwyciężyli, a co nie poległo od miecza, zabrali w niewolę. Nawet całą jedną kompanią wraz z oficerami i pułkownikiem, który się przypadkowo w pobliżu tej kompanii znajdował

Smutni Anglicy szli za swymi zwycięz

cami, nie wiedząc, jaki ich los częka, tylko się domyślając. I jedna bowiem i druga strona z jeńcami zabranymi krótki robiła proces. Oficerów wyższych zatrzymywano w niewoli jużto dla okupu, jużto dla wymiany za swoich. Prostych żołnierzy stawiano albo w swoje szeregi, albo poprostu rozstrzelano.

Po pierwszym marszu, kiedy wojsko wypoczywało, a jeńcy stali w swych sprzęgach pod strażą; zgromadzili się meksykańscy oficerowie na naradę. Pułkownik angielski także znajdował się między nimi, i umawiał się z nimi co do losu swych ludzi pojmanych w niewolę. Widocznie umowa nie szła po jego myśli, bo się mroczył i brwi marszczył.

W tem nadszedł ku niemu młody jeszcze oficer anglo-amerykański, ale z oznaki na mundurze widać, że stoi w randze kapitana. Był to wysmukły, piękny młodzieniec, z którego postawy i wzroku poznać można było odwagę i szlachetną mężność.

Pułkownik domyślając się, że kapitań chce z nim mówić, wyszedł z koła oficerów, zbliżył się do przybyłego.

— O cóż chodzi, kapitanie Henryku?— zapytał, odszedłszy z nim kilka kroków na stronę.

— Panie pułkowniku — odrzekł kapitan — sprawa tyczy mej własnej osoby.

— Nie obawiaj się niczego — uspakajał go pułkownik -- jesteśmy zupełnie bezpieczni. Właśnie otrzymałem od naszych meksykańskich towarzyszy broni wiadomość, że nas będą strzegli przed wszelkiemi wybrykami żołdactwa.

Kapitan uśmiechnął się gorzko.

— Panie pułkowniku — rzekł — gdyby nie moja osoba, możeby i tak było, ale dla mrie samego wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie.

— A to jak? — zapytał zdziwiony pułkownik.

— Otóż — rzekł na to kapitan — pomiędzy żołdactwem, które nas eskortuje, znajduje się osobistość mej krwi pragnąca. Przed kilkoma miesiącami schwytałem tego żółtobrzucha, ale żałując stryczka na niego kazałem mu tylko wsypać pięćdziesiąt batów i puściłem na wolność. Odgrażał on się, że mi tego nie zapomni. I też nie zapomniał, gdyż słyszałem na własne uszy, jak się z podobnymi sobie łotrami zaprzysiągł, że mnie przy pierwszej lepszej sposobności zastrzeli.

To źle — wtrącił pułkownik.

— Bardzo źle — ciągnął dalej kapitan Henryk — bo tu już nie o los mojej samej osoby chodzi, ale o nas wszystkich. Żółtobrzuchy i tak nie radzi są, że nas dotąd nie pomordowano. Skoro tylko pierwszy strzał padnie, skoro żółtobrzuchy poczują i ujrzą krew, natenczas i meksykańscy oficerowie nie będą mogli zapobiedz, że żołdactwo wszystkich nas wymorduje. Są to bowiem tygrysy, których zapach krwi odurza, a widok jej skłania do mordu i okrucieństwa.

Pułkownik w zamyśleniu utopił wzrok w ziemi. Poznał on, że kapitan ma słuszność, i że niebezpieczeństwo jest bardzo wielkie. Żołdactwo meksykańskie, to nie regularne wojsko, gdzie karność jest pierwszą cnotą żołnierza, ale zbieranina łotrów z całego świata, awanturników, którzy gardząc przyzwoitą pracą, woleli żyć z rabunku i łupu. Tacy ludzie pozornie tylko byli posłuszni oficerom, i to tylko tam gdzie im samym groziło niebezpieczeństwo, lub gdzie nie można się było łupu spodziewać. Tymczasem obecnym jeńcom odebrano dopiero broń, nie odarłszy ich ze szczętem.

Nie mogąc wpaść na myśl, jakby złemu zaradzić, zwrócił się pułkownik do Henryka.

— I jak mi poradzisz, kapitanie? czy mam twoje obawy opowiedzieć meksykańskim oficerom? Powiedz twe zdanie, Henryku.

Kapitan wstrząsnął głową i rzekł:

— Na nic to się nie zda, bo chociażby usunięto z eskorty mego nieprzyjaciela, to ma on już namówionych innych, którzy właśnie dla tego, iż się oficerowie o tem dowiedzieli, przyjacielowi swemu usługę wyświadczą. Czy ów Pedro, mój wróg, będzie usuniętym, czy nie, krew moja niebawem popłynie.

— Więc cóż robię? — zapytał pułkownik.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

FR. HOFFMAN.

NIE OPUSZCZAJ KRAJU RODZINNEGO

— PRZEŁOŻYŁ —

BOLESŁAW DUNIN.

(Ciąg dalszy.)

Naraz wydał Ferdynand okrzyk radości. Dostrzegł bowiem mnóstwo jakby rozsypanych ziarnek grochu, takiej wielkości były bryłki złota, które schyliwszy, się, zbierać w garść zaczął. Jan to samo uczynił, lecz zbierając takowe po ziarnku, coraz bardziej śledził, zkądby ono pochodzić mogło. Widocznie zostały owe bryłki naniesione wodą z wyższego jakiegoś miejsca: czy to z obrywku skały podmytego wodą, czy może z wyżłobionego pochodziły łożyska? Lecz czy tak lub inaczej było, mógł być już pewnym, że tu sie zbliżają do celu swych poszukiwań i że tu wszystkie ich trudy wynagrodzonymi zostaną.

Ferdynand nazbierał w krótce obie garzcie pełne tych złotych bryłek i ładował niemi swoje kieszenie. Oczy jego zabłysły radością, twarz mu poczerwieniała, słowa nie mógł więcej wymówić, tylko zgięty ku ziemi prawie każdy kamyk przeglądał i wpiasku grzebał. Jan znowu naglił go, aby czemprędzej postępować do góry, gdzie się spodziewał obfitszego zbioru złota, niż to, co wyniosła woda. Wszakże i tego nie rzucał, co znajdował pod nogami. Nakoniec przyszli do jakiegoś wielkiego wyłomu, chociaż jeszcze nie doszli do wysokości góry. W rozpadlinę skały spadała jeszcze woda, której źródło gdzieś wyżej się znajdywać musiało. Tu więc się zatrzymali, przepatrując pilnie całą rozpadlinę, w której kamykach wypłukanych wodą, znajdowali poniżej złoto. Jan zaczął oskardem próbować w kilku miejscach skały. Kamień jej nie był twardy, kruszył się i obsypywał łatwo, a z odpadającymi kamykami coraz więcej złotych bryłek pokazywać się zaczęło, Jan radził, aby muły w tyle pozostawione tu sprowadzić a powiązawszy ich, zostawić niedaleko pod górą, gdzieby się paść tymczasem mogły, wory zaś skórzane z nich zabrać i na miejsce znieść, aby wnie gotowe złoto ładować. Tak się i stało. Zbiór był tak obfity, że w przeciągu dwóch dni naładowali pełne wory i napełnili wszystkie kieszenie.

Ferdynand tyle był tem zajęty, że na nic więcej nie zważał, nie słyszał nawet rozmowy Jana, której ten mimo pracy nie przerywał.

"W tem miejscu, gdzie jesteśmy, i gdzie tak obfity zbiór złota mamy, nikt jeszcze za nim nie szukał; możemy więc go odtąd uważać jako prawowitą własność naszą" — mówił on do Ferdynanda — "a mając już naładowane swoje wory, nic nam nie pozostaje, tylko objuczyć nimi woły, i czem prędzej pospieszać z powrotem do San Francisko: tam złożywszy złoto na skład w pewnem miejscu, udamy się napowrót tutaj po drugi transport. To nam daleko prędzej pójdzie, niżeli tą razą, gdyż już wiadome nam miejsce, do którego wprost podążymy, nie potrzebując czynić poszukiwań żadnych, które nam tak wiele czasu zabrały."

Nie podobała się ta mowa Jana Ferdynandowi, który mimo uczynionej z Janem umowy, że połowa złota, którą przy pomocy jego uzbiera, będzie jego własnością, widząc się w tej chwili w posiadaniu tak

wielkiej ilości złota, czuł się być tak bogatym, że wielkie dobra w Europie mógłby za nie kupić. Nie odpowiedział więc natychmiast na tę mowę Jana, spojrzał tylko ponurym na niego wzrokiem i po sprowadzeniu mułów i włożeniu na nie worów ze złotem, powiedział ostro do Jana:" Jak śmiesz podobne rzeczy prawić? zapomniałeś chyba o tem, że jesteś tylko moim sługą, a żem cię przyjął, abyś w wydobywaniu złota pracował dla mnie. Czyż może sługa i robotnik rościć sobie prawo do własności swego pana?

"Czy to tak już Pan mówić do mnie zaczynas?" zawołał Jan. "Niech Pan nie zapomina, jaka była umowa między nami. Wszakże bezemnie nicbyś Pan nie był zrobił; bo byś nie tylko złota nie znalazł, po które Pan Przybyłeś do Kalifornii, ale byś nawet życie w tej pustyni mógł utracić."

Ostre przemówienie Jana powstrzymało cokolwiek uniesienie Ferdynanda. Nie rozchmurzył jednak swego ponurego oblicza, ani oczu swych oderwać nie mógł od worów, które już były na grzbietach mułów przywiązane. Zaczęli ustępować z góry, każdy prowadząc w ręku muła. — Ferdynand ani słowa więcej nie przemówił do Jana. Chciwość tak owładnęła jego umysł, że postanowił bądź co bądź nie dać Janowi nic z tego skarbu, który uważał jako wyłączną swoję własność; rozmyślając tylko nad tem, jakby się go pozbyć koniecznie. Gdy zeszli w doliny, a było to już koło wieczora, nie zatrzymując się nigdzie przez dzień cały, Jan radził, by tu spocząć trochę, aby na noc zdążyć do lasu, w którym łatwo będzie można rozniecić ogień i przygotować jakikolwiek posiłek ze zwierzyny, której zapas mieli z sobą, tak go paliła żądza przywłaszczenie sobie wszystkiego złota, które z pomocą Jana uzbierał. Gdyby nie konieczność spoczynku i paszy dla mułów, byłby niepozwolił stracić tyle czasu, tak mu pilno było dostać się do lasu: któryby ukrył to, co on zamierzał uczynić.

Słońce już było zaszło, zmrok szerzyć się począł, kiedy w las weszli. Jan jako przewodnik tej wyprawy szedł zawsze przodem, wypatrując dogodne miejsce na nocleg. Weszli na polankę w śród lasu, na której bujna rosła trawa. Tu się więc zatrzymali i związawszy muły: puścili je na paszę. Jan uzbierał suchych gałęzi, rozniecił ogień i zabierał się do przyrządzenia wieczerzy. Ferdynand usiadł na stronie, niespuszczając z okn mułów, by się nie oddaliły. Kilka razy wstawał, by ich przypędzić bliżej siebie, tak się obawiał o skarb swój i ani na chwilę stracić go z oczu niechciał. Jan nie zważał na jego zły humor, i nawet niezwracał uwagi na to, co Ferdynand robił. Ten zaś tymczasem wypatrywał chwili, aby zamiaru swego dokonać. Niechciał wszakże zabijać wiernego sługi i towarzysza swego. Umyślił więc, aby go związać i tak skrępowanego zostawić w lesie, a samemu spiesznie z tego miejsca uchodzić.

Gdy Jan pochylony u ognia zajęty był wieczerzą, Ferdynand gwałtownie rzucił się na niego z tyłu, mając w jednem ręku sznur, który zarzucił mu na szyję i zaczął go nim dusić. Jan niespodziewając się takiej napaści, uchwycił rękami za sznur którem coraz bardziej mu szyję ściskał, lecz Ferdynand powalił go na ziemię i resztą sznura skrępował mu ręce i nogi. Gdy tego dokonał, sfolgował cokolwiek ściśnienie szyi, niechcąc Jana pozbawiać życia od razu, tylko go zostawić na powolne konanie z głodu lub śmierci od dzikiego zwierza, a zabrawszy potem strzelbę którą Jan zrzucił z ramion swoich i niezostawiszy przy nim nawet noża, którym dla podróży był opatrzony, odrzekłszy nawet gotowej już prawie wieczerzy, wziął w rękę muły i z niemi spiesznie uchodzić zaczął. Gdy Jan cokolwiek do przytomności przyszedł po tak gwałtownej napaści, nie wołał nawet o ratunek, bo wiedział, że w tej puszczy niktby nie posłyszał jego głosu. Ostatkiem tylko sił swoich starał się rozerwać sznury, którymi był skrępowany, lecz wszystkie jego wysilenia próżne były. Nie rozpaczał jednak, przyczołgał się bliżej ognia i ująwszy w zęby gałązkę wygarnął z wielką trudnością żarzący węgiel, próbując czy się nie uda w jakiem miejscu przepalić nim sznura którym był związany. I to próżnem się okazało, tylko przewracać się jeszcze mógł na wszystkie strony lecz ani rękami ani nogami posuszać się nie był wstanie. W końcu wyczerpały

się jego siły, i został zupełnie bezwładny.

Ferdynand tymczasem postępował nocą dalej i dalej. Sumienie jego milczało. Nieobawiał się ani dzikiego zwierza, którego mógłby napotkać w swojej drodze, albo że zabłądzi w nieznajomej mu okolicy, rachując na swoją pamięć, że ta go poprowadzi tą samą drogą, którą już przebywał. Tak wędrował noc całą. Nad ranem przystanął trochę. aby popaść muły, i znowu śpiesznie uchodził dalej, trzymając się zawsze lasu. gdzieby się mógł w razie potrzeby schronić, Zdawało mu się bowiem że w otwartem miejscu łatwiej dostrzeżonym zostanie, a ztąd sam się narazi na niebezpieczeństwo stracenia złota, albo na co gorszego jeszcze, gdy go to dostrzeże wracającego samego bez towarzysza, w kraju bez drogi i ścieżki, w którym obcy człowiek nigdy się sam puszczać niepowinien

Cały dzień i noc następna przeszły tak samo. W nocy, w której na krótko zaledwie się zatrzymał, dla odetchnienia i pokarmienia mułów, niezmrużył nawet oka. Siadł tylko na ziemi, trzymając dubeltówkę w ręku, aby być gotowym na każdy wypadek, czy to od dzikiego zwierzęcia, czy od ludzi, którzyby mu jego skarb zabrać mieli. Nad ranem uczuł się tak znużonym, ze mimowoli zdrzymnął się trochę. W tem uczuł się być pochwyconym za szyję silną jakąś ręką; a gdy oczy otworzył, ujrzał straszliwą postać nad sobą a wraz znią i drugiego człowieka, trzymającego w ręku sznury któremi podobnie go krępował, jak on sam przed dwoma dniami nieszczęśliwego Jana.

Poznał Ferdynan człowieka, co go tak silnie dusił za gardło, był to kupiec, od którego kupił muły. Żaden gniew tu nicby nie pomógł. Związanemu nic nie zostawało, tylko błagać łaski aby mu darowano przynajmniej życie, kiedy skarbu swego ocalić już niemógł. Handlarz mułów zabrawszy obciążone muły, które także z wysilonego pochodu i niedostatecznego pożywienia ledwie się trzymały na nogach, kazał towarzyszącemu mu człowiekowi zostawić Ferdynandowi tylko rydeł i siekierę, a zabrawszy od niego broń palną roskazał go rozwiązać i zostawić samego w lesie.

Tu dopiero ujrzał się Ferdynand w okropnem położeniu, może nawet w gorszem, jak wierny Janek, tórego postawił związanego w lesie. Jan przynajmnij obeznany z krajem, gdyby tylko szczęśliwy jakim trafem z więzów uwolnić się zdołał, nie mógłby zbłądzić, on zaś zostawiony w głębokim lesie nie mógł do tyle rachować na swoję pamięć, aby się nie zabłąkac. Nadto zostawiony bez pożywienia i bez broni, którąby się od dzikiego obronił zwierza, jakoż równierz za jej pomocą w żywność się opatrzyć, niewiedział co począć z sobą. Do San Francisko gdyby nawet natrafił na drogę, powracać nie chciał i nie mógł/bez grosza w kieszeni, bez znajomych coby go poratować mogli. Zresztą w kraju, gdzie taka drożyzna, i gdzie każdy człowiek zajęty tylko sobą, i tylko o siebie myśleć musi, cóżby począł? Nic więc innego czynić mu nie zostawało, chyba powracać do tego samego miejsca, które Jan odkrył i tam na nowo własnemi już rękoma rozpoczynać dobywania ze skały złota.

Łzy rzewne puściły mu się z oczu. Uczuł dopiero położenie swoje, które było karą za zbrodnię popełnioną na wiernym Janie; wyrzuty sumienia dręczeć go poczęły, bo wyobrażał sobie teraz jego śmierć z głodu, podobną do tej, jaka go czekała. Długo tak siedząc, zakrywszy oczy rękami, szlochał jak dziecko. Nakoniec usunął znużony. Jak długo spał, niewiedział wcale. Gdy się bowiem obudził, było już szaro. Nie mógł nawet zgadnąć, czy to noc się zbliżała, czy to był nadchodzący poranek. Chwilę tak posiedział jeszcze, nim się opamiętał, i przypomniał sobie, co się stało. Sen długi orzeźwił go trochę, nad głową jego coraz bardziej się rozwidniało, przekonał się, że to jest poranek. Bujna rosa, stojąca na gęsto rosnących roślinach, była dla niego zdrojem. Skrapiał ją na swoje dłonie, gasił nią pragnienie, i obmył nią swe oczy. To go orzeźwiło zupełnie. Głód uczuć się mu dawał, a nie miał czem go zaspokoić. Uzbierał więc sobie korzonków leśnych i niemi trochę się posilił.

Cóż było począć dalej z sobą? Trzeba koniecznie powrócić do tego samego miejsca, gdzie z Janem dobywał złoto. Zwrócił więc kroki swoje w tę stronę, i zdawało mu

się, że , aby tylko zdołał niezabłąkać się, powinienby trafić do miejsca tego. Tak szedł znowu trzymając się brzegu lasu tym samym prawie śladem, który gdzie niegdzie dostrzedz się dawał, muły bowiem, idące obok siebie, szeroką przestrzeń bujnej wydeptywały trawy, która tak prędko podnieść się po zdeptaniu niemogła. To mu dodawało nadziei, że nie zbłądzi. Starał się oraz, aby ominą koniecznie to miejsce, w którem zostawił biednego Jana skrępowanego sznurami. Może on już nieżył...... tego był prawie pewny. A niechciał również narazić się na spotkanie z swoją ofiarą na wypadek, gdyby jakim cudnem trafem z więzów swych się był wydostał. Musiał więc zwrócić się w stronę i daleko okrążać to miejsce zbrodni, którą popełnił, co było przyczyną że to nastąpiło, czego się najwięcej obawiał: zbłądził zupełnie! Wyszedłszy z lasu nie natrafił na łożysko wyschłego strumyka, w którem poprzednio znajdowali złote bryłki i po tej wskazówce aż do skały dotarli, w której odkryli pokład szczerego złote.

Kilkanaście dni przeszło, nim nakoniec odszukać zdołał dawną swoję drogę prowadzącą w góry. Brak pożywienia, w które przy pomocy strzelby mógłby się był zaopatrzyć, tak go osłabił, że ledwie powoli dojść mógł do celu. Dostawszy się tam upadł znużony pod skałę, i znowu stanęło mu przed oczy to wszystko, co przebył, czego doświadczył od czasu wyjścia z domu i kraju własnego. Od czasu, jak się dostał do Kalifornii, tego złotodajnego kraju, upłynęło już kilkanaście tygodni, a on, choć był już w posiadaniu wielkiej ilości tego kosztownego kruszcu, że się już miał za wielkiego bogacza, dziś w nędzy, chory i znużony, bezsilny prawie, i nieustannie dręczony popełnioną zbrodnią.... O jakże zazdrościł najnędzniejszemu żebrakowi w swoim kraju, który na zawsze miał za stracony! dziśby się z nim pomieniać gotów na stan jego.... Uczuł on całą nędzę bogactwa! Dopiero się przekonał, że złoto nieuszczęśliwia nikogo, jak to pierwej był sądził!

Znowu silny głód uczuć mu się dawał, i zabrakło mu czasu do długiego rozmyślania. Trzeba się było zabrać najpierwej do wyszukania jakich korzonków, by gwałtowny głód zaspokoić, Zostawiwszy więc siekierę u skały, wziął rydel w rękę i zaczął kopać ziemię, szukając w niej korzonków rozmaitych traw i ziół najbujnie rosnących. A choć to i Jan czynił, jednak przy pomocy zwierzyny, której im opatrzonym w strzelby nie brakowało nigdy, niedoświadczali głodu: znajdowane dawniej korzonki służyły za przyprawę tylko, kiedy teraz jedynem pożywieniem były dla niego Szczęściem odkrył, kopiąc ziemię roślinę podobną do kartofli, której upieczone korzenie smaczne i posilne były, i odtąd mógł być pewny, że nie umrze z głodu.

Posiliwszy się trochę, wdrapał się na skałę, po której sączyła się woda i po niej doszedł aż do źródełka, z którego płynęła. Ugasiwszy pragnienie, znowu na dół spuścił się ku wyłomom skały i rozpoczął na nowo poszukiwania w miejscu gdzie był pokład złota dobrze mu znany. Rydel posłużył mu do odgartywania grubej warstwy zwiru i odpadłych kamyków. Uprzątawszy to wszystko pokazały się oznaki jeszcze obfitszego pokładu złota.

Blask jego obudził znowu chciwość Ferdynanda, który choć znużony pracą, prawie całodzienną, niezważając nawet, że już wieczór nadchodził, zaczął pilnie go wydobywać. A nagarnąwszy go już sporo opatrzył się dopiero, że niebędzie miał go w co zabierać, a tem mniej czem przewieść do San Francisco, do którego wracać zamierzył aby czem prędzej stamtąd powrócić do kraju. Zaczął więc obładowywać złotem wszystkie kieszenie, jakie miał w swem odzieniu. Gdy już te pełne były a kupa wydobytego złota jeszcze przed nim leżała, bo nie mógł wszystkiego w kieszenie zabrać, zjął z szyi chustkę, napełnił ją także, zawsze jednak wiele go zostawało. W ostatku zrzucił koszulę, i wciągnąwszy na nagie ciało odzienie swoje, zrobił z niej spory worek, w który resztę zabrał, iz niem prędzej na powrót puścić się zamierzył, układając sobie, że przybywszy do San Francisco, kupi kilka mułów, przyjmię parę sług. z którym znowu powróci w góry, aby wydobyć ile tylko się da złota z miejsca, które podług praw i zwyczajów krajowych za swoje uważał dziedzictwo.

Nim jednak odszedł, zagarnął starannie kamykami zrobione w skale wyłomy, i podbijawszy z wierzchołku skały sterczące kamienie, przywalił to miejsce tak aby nie poznać, że ręka ludzka te wyłomy zrobiła. Dokonawszy tego, puścił się w drogę.

Ciężki jednak i powolniejszy był powrót jego. Dźwigając na plecach worek ze złotem, mając niem również napełnione wszystkie kieszenie odzienia, nadto rydel i siekierę których rzucać nie mógł, niechcąc się przez to pozbawić tak sposobu wyżywienia swego jako też obrony, której w każdej chwili potrzebował nie tylko od zwierząt, lecz nawet od złych ludzi, którychby spotkać mógł w swej drodze. Całymi tygodniami ciągnęła się ta jego podróż, a znużenie, jakie doznawał, opóźniało ją jeszcze bardziej.

Wypadek z handlarzem mułów, który go zrabował wracającego ze złotem, uczynił go ostrożniejszym. Wolałby raczej spotkać dzikie zwierzę, od któregoby się mógł bronić, niż człowieka. Każdego bowiem od tego wypadku podejrzywał o złe zamiary. Aby ochronić się od podobnego spotkania, trzymał się zawsze lasów, w których czuł się bezpieczniejszym od napaści złego człowieka. Gdy się zdarzało przechodzić przez otwarte miejsca, nim się wychylił z lasu, długo rozpatrywał całą przestrzeń leżącą przed sobą, którą mu koniecznie przechodzić należało; a przekonawszy się. że niedostrzega na niej nikogo, coby był podobny do istoty ludzkiej, wychodził z lasu i przyspieszonym pomimo ciężaru, jaki na sobie i z sobą dźwigał krokiem, puścił się w dalszą drogę.

Dochodząc do końca lasu dostrzegł on w niedalekiej od siebie odległości coś leżącego na ziemi. Zdawało mu się. że to jakiś zwierz leśny. Wyjąwszy więc z zapasa siekierę i trzymając ją w pogotowiu na wszelki wypadek, zaczął się przypatrywać coby to było. Pomimo gęszczy krzewów rozpoznał postać ludzką. Niezmierna trwoga go ogarnęła, rozumiejąc że znowu jakiś rabuś lub morderca zaczaił się na niego, by mu wydrzeć złoto z takim trudem zdobyte. Postać ta leżała nieporuszając się, a podarte na niej i rorzucone odzienie świadczyło o jakiejś gwałtownej walce, w której został powalony na ziemię. Podszedł bliżej leżącego. Lecz cóż za widok go uderzył! W leżącym na ziemi poznał trupa tego co mu wydarł jego muły złotem obciążone. "O Boże!" zawołał: "ten sam los mnie czekał, którego doznał ten, co mnie zrabował!" I tu mu stanęła przed oczyma postać biednego Jana, zostawionego przez niego na zgubę w lesie, a do tego skrępowanego własnemi rękoma.

Gwałtowna przejęła go trwoga. Wyobraził bowiem sobie tę walkę rozpaczną, jakiej to miejsce świadkiem byłc. Zabity człowiek miał rozrąbaną głowę i wysadzone oko. Nadto jedną rękę miał przełamaną, widocznie tę, którą się chaiał bronić od napaści. Zwłoki nieszczęśliwego wydawały już woń nieprzyjemną. Ferdynand czem prędzej oddalił się z tego miejsca i spiesznie dalej uchodził.

Wreszcie zaczęły się pokazywać w oddali lepianki osadników, podobno te same, które widzieli oba z Janem. Ferdynand starał się troskliwie, by ich ominąć, by się nie spotkać z nikim z tych ludzi, o których Jan nie najlepsze dał mu świadectwo; co znowu znacznie przyczyniło mu drogi.

Jeszcze tak dni kilka trwała podróż jego. Utrudzenie Ferdynanda się wzmagało, tak że w końcu uczuł się zupełnie bezsilnym. Ani kroku dalej postąpić już nie mógł. Usiadł więc na ziemi już nie dla spoczynku, ale dla zupełnej niemocy, która nim owładnęła tak dalece, iż sądził, że już ostatnia jego życia zbliża się godzin. Wzrok jego nawet słabnąć już zaczął, tak, że jak przez mgłę poglądał na otaczającą go okolicę. Gdyby się mógł tylko do miasta, które zdawało mu się, że jest już niedaleko! Lecz! próżno mu było i myśleć o tem, tak się czuł osłabionym.

Gdyby choć kropla wody! pomyślał on sobie, oddałbym za nią wszystko złoto, co mam przy sobie; tak go gorączka paliła. Nareszcie i pamięć go opuściła zupełnie. Nie wiedział już dalej, co się z nim dzieje,

(Ciąg dalszy nastąpi.)

UFNOŚĆ BEZ GRANIC

PRZYSŁOWIE DRAMATYCZNE W JEDNYM AKCIE.

— NAPISAŁ —

LEON KAPLIŃSKI.

(Ciąg dalszy).

Anna.

Ten spokój zaszczyt ci przynosi, lecz jeśli sobie żartować ze mnie myślisz, to lepiej zakończmy tę rozmowę.

Roman.

Żartować z ciebie, moja najdroższa Anno! o nie! — na to się nie ważą, ale zaprawdę, jakże chcesz abym brał na seryo twoje obawy i przypuszczenia. Właściwie nawet nie wiem o co ci chodzi.... Czy życzysz sobie aby cię podejrzywał, śledził i szpiegował? Czy pragniesz mnie na śmieszność wystawić?

Anna *(nieco rozdrażniona).*

Otóż mój Romanie dotykamy drażliwego punktu, na którym porozumieć nam się trudno, bo wy mężczyzni pojmujecie i uznajecie tylko takie niebezpieczeństwa, gdzie wasz bezpośredni interes, gdzie wasza miłość własna dotknięte lub zadraśnięte być mogą. I doprawdy, trzeba być chyba już bardzo płochą i bardzo zalotną, aby czujność waszą i troskliwość obudzić, a dopóki dotykalnie i bijąco w oczy nie zostaniecie.... zatrwożeni, to śpicie sobie "snem fabrykanta Niemca" nie troszcząc się o te rzeczy, o które my się troszczymy....

Roman *(nieśmiało).*

Być może, że czasem znów o zbyt mało!....

Anna.

O zbyt mało! Wiesz mój drogi, że życie uczciwej kobiety ma źródło swe we wnętrzu duszy, że tam ono się skupia, rozwija bez innych świadków prócz Boga: że do tego to wewnętrznego świata my kobiety zastosowujemy prawidła uczciwości i honoru, któtemi wy mężczyzni kierujecie się w świecie zewnętrznym, w towarzyskich stosunkach i to o ile wam z tem wygodnie. Ta kobieca wewnętrzna uczciwość, ten honor, co jest owej uczciwości kwiatem, i ta delikatność, co jest owego kwiatu najsubtelniejszym pyłkiem, nie lubią być wystawione na pewne próby i hazardy. To też dla tego wolałabym chodzić w świat nie sama, ale oparta na twojem ramieniu....

Roman *(zrywając się z krzesła).*

Co za anielska kazuistyka! co za kryształowe skrupuły! Ach, jak te Polki wszystko subtylizować umieją! o, liliom najczystszym i różom najbielszym głowy przed wami uchylić. Życie wewnętrzne.... pogoda duszy.... prawidła honoru! Prześlicznie! cudownie moja Anno.... gdy słyszę z twych ust takie rzeczy, to mi się wydaje, że ci błękitnie skrzydła wyrastają z ramion i że mi ulecisz w sfery, w które za tobą podążyć nie zdołam. Ależ moja anielska pani, ponieważ żyjemy na ziemi i ponieważ w tej chwili mówimy o bardzo realnych, bo o światowych i towarzyskich stosunkach, więc trzeba rzeczy brać realnie i trzeźwo je sądzić. Znam ja trochę świat i znam na wylot tych wszystkich paniczów, co to niby wzdychają czule, i których afekta wy nieraz bierzecie na seryo. Więc z ręką na sumieniu mogę Cię zapewnić, że żaden z nich nie jest w stanie zakłócić spokoju *takiej jak by kobiecie.* Bywają oni niebezpieczni tylko

tam, gdzie łatwe dla siebie przewidują zwycięztwo, bo ci wszyscy don Juany i Lowelasy nasi są najczęściej bardzo nieśmiali i bardzo leniwi, a skoro ich kobieta sama nie ośmieli, skoro, ich swą sztuką niewieścią sama nie pociągnie, to trzymają się oni wogóle na dalekiej i przyzwoitej odległości.

Anna.

Chciałbym wiedzieć, do czego to całe rozumowanie prowadzi?

Roman

Prowadzi ono do bardzo jaśnej konkluzyi. Ponieważ moja anielska Anna jest jedną z najszlachetniejszych a zarazam najwykwitniejszych natur jakie znam, ponieważ jej umysł tylko ku rzeczom wzniosłym i przeczystym jest zwrócony, ponieważ umieć ona dla wszystkich być uprzejmą i uroczą, ale nigdy ani słowem, ani półsłowem, ani intencyą, ani cieniem intencyi nie jest w stanie ośmielić nikogo, więc szczęśliwy mąż taki j wybranej i wyjątkowej istoty, nietylko może spać spokojnie, ale wolno jest owemu mężowi bez wyrzutu sumienia wieczór dzisiejszy w domu pozostać. Kobieta albowiem tego rozumu i tej moralnej wartości, co ty moja Anno, potrafi zawsze bez niczyjej pomocy utrzymać się na wysokościach, do których męty światowe wcale nie dochodzą. Oto jest moja konkluzya, która, mam nadzieję obrazić cię nie może a przekonać cię powinna (*zabiera się do odejścia*).

Anna.

Nie mogę się pochlubić ani tem doświadczeniem, ani tą przenikliwością, jakie ty posiadasz i jakiemi nademną górujesz; lecz zdaje mi się, że rozumowanie twoje jest z gruntu fałszywe, choć wybornie dogadza twojemu egoizmowi i twojemu lenistwu. Wynalazłeś sobie teoryę dającą się może zastosować do kobiet zalotnych i goniących za awanturami, ale o niebezpieczeństwach grożących kobietom przyzwoitym pojęcia nie masz i niebezpieczeństw tych nie rozumiesz. Ja zbijać twoich wywodów nie myślę, powiem ci tylko, że żona przywiązana do męża i uczciwa, właśnie dla tego że uczciwa, może mimo wiedzy i woli obudzić w sercu honorowego człowieka, co z tuzinkowymi don Juanami nic wspólnego niema, uczucie czyste i prawdziwe, uczucie tem głębsze, że bez przyszłości i nadziei. Ach mój bystrooki i przenikliwy Romanie, gdybym tylko chciała, tobym może znalazła bardzo bliski i przekonywający przekład, któryby cię zmusił do zmienienia niektórych twoich przekonań!

Roman (*pocierając sobie czoło*).

Hm, hm! zdaje mi się, że z pola teoryj ogólnych, schodzimy w tej chwili do kwesty czysto osobistej. Jeśli się nie mylę, to masz tu na myśli kuzyna twego Stefana który to Stefan oświadczył się o twą rękę spółcześnie ze mną i dwukrotną odmowę otrzymał. Utrzymują niektórzy, że ma on serce od owego czasu zranione, czemu się bynajmniej nie dziwię, i że ci wiernym w uczuciach pozostał, co uważam za prawdziwe dla niego nieszczęście. Wiesz dobrze, że ja wielce szanuję Stefana naprzód dlatego, że jest on człowiekiem wysokiej moralnej wartości, a potem, jeśli mam prawdę powiedzieć, i dlatego, że moja miłość własna bywa na jego widok przyjemnie głaskaną. Oto — mówię sobie w duszy takiego człowieka, takiego feniksa miałem za rywala i przecież pierwszeństwo nad nim otrzymałem! To są jedyne uczucia, jakie we mnie obudza Stefan, a rozumiesz moja Anno, że jeśli nie trwoży mnie taki groźny i niebezpieczny rywal jak on, to bez obawy patrzę na innych drugorzędnych twych wielbicieli jak *np.* na tkliwego i wybladłego Rodryga.

Anna (*nieco zmieszana*).

A! to raczyłeś zauważyć Rodryga i kogo jeszcze? Bardzo cię proszę!

Roman.

Ja uważam i notuję sobie wszystkich ilu ich tam jest, ale do niebezpieczeństwa dla ciebie, ani do niepokoju dla siebie żadnych powodów nie dostrzegam. I gdyby tobie, co jesteś kobietą niezdolną do małostek, przyszła kiedykolwiek ochota zazdrość we mnie obudzić, to cię uprzedzam, że na Otella materyału we mnie ma. Ów "smok zielonooki, brzydzący się trawą jaką ożera" ów smok, na którego się skarżył czarny Desdemony kochanek, nigdy w piersiach mych nie zamieszka i nigdy, przysięgam ci, ani okazały i rycerski Stefan, ani romantyczny i wymokły Rodryg spokoju mego nie zakłócą, a ten olimpijski spokój i pogoda nie pochodzą bynajmniej u mnie z dobrego o sobie rozumienia, ale z niesłychanej, nieograniczone i niczem niezachwianej ufności w ciebie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)